Nr. 3. We Lwowie dnia 20. stycznia 1896. Rok 4.

# TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

## Akordy jesienne.

VII.

Trubadurem być? u pańskich — u bankierskich stawać [bram?
W duszy, którą Bóg wykąpał w swych płomieniach, gasić [wstyd
Za trzos złota? za kwiat róży z białej ręki strojnych dam,
Od gorących łon odpięty? Za lokajów miękki byt?

Co? w pochlebstwa płynne rytmy krew serdeczną zmieniać [nam?
Łaskotliwe piać ballady? baczyć trwożnie, aby zgrzyt
Z rozstrojonych oburzeniem harf nie trysnął? aby kłam
Mógł zasypiać w ciepłych łożach, syt rozkoszy, chleba syt?

Trubadurem być? wysławiać głębie życia, gdzie jest cieśń
Zgniłych grobów? wielbić orły, gdzie się puszy ciężki [paw?
U drzwi skarbców spustoszałych stawiać uczuć swoich [straż?
Nie! rozpusty nie podniesie ku miłości nasza pieśń!
Nie! bezprawiu nie da szali sprawiedliwych, boskich praw!
Nie! obłudy nie przystroi w szczerej wiary słodką twarz!

VIII.

Pieśni nasza! niespożyta, chociaż codzień w śmierci toń
Spycha ciebie ród grabarzy, boś ich fałszom groźna wciąż:
Wielorybem płyń po morzach, po rozłogach chartem goń,
A sokołem po niebiosach, patrząc w słońce, mknij i krąż!

A zaklęta w ludzką postać, przyłóż ucho — przyłóż skroń
Do wnętrz ziemi wulkanicznych i gotowa bądź, jak mąż,
Który nie chce przyjść za późno... Z wichurami razem [dzwoń,
Łkania burzy, bicie gromów w jeden głośny akord wiąż...

Przejdź pielgrzymem świat ten cały: w owych mrocznych [izbach gość,
Gdzie nędzarze z nóg lecący mają jeszcze siły dość,
By o głodzie i o chłodzie błogosławić dziwnym snom,

Co im wróżą sytość, ciepło i szeroki światła smug...
A gdy losy cię zawiodą, pieśni, w złotych cielców dom,
Posadami jego wstrząśnij i spiesz dalej śród swych dróg.

IX.

Cóż, że będzie ci złorzeczył zleniwiałych zwarty huf,
Gdy go z sytej zbudzisz ciszy, rzucisz kamień w jego muł?
Cóż, że szczeknie po za tobą rozkiełzanych sfora psów,
Które w obróż pozłocistą wypasiony pan ich skuł?

Które z smyczy swojej puszcza, gdy wyprawić trzeba łów
Na zwierzynę szlachetniejszą od tych wieszczów płaskich (czół,
Od pismaków ciasnej piersi, lecz mającej dosyć tchów,
By bezcześcić ołtarz święty — za magnacki, hojny stół?

Ty spiesz dalej, pieśni nowa — w ślad melodji własnych [spiesz!
Tylko gdy się zbyt rozjuszy bezkarnością śmiały zwierz
I twym śnieżnym płaszczem szarpnie, stań i okiem, gdzie [się skrzą

Groźne ognie dni idących, napastliwych wrogów zmierz:
Nie potrzeba rąk podnosić, wołać jej: A milcz! A leż!
Stchórzy zgraja i z skowytem lizać będzie stopę twą.

X.

Pieśni nasza! smętno tobie i samotno? czujesz ból,
Że ukochan przez cię człowiek nie chce słuchać twoich grań?
Że ten świat, co od wielbiących twoją moc, jak pszczeli ul,
Tak się roił, dziś jest pusty? O nie zważaj, pieśni, nań!

Graj obłokom, lasom szumnym, trawom, zbożom naszych pól;
Jak tęsknica, owinięta w pajęczyny wiewną tkań,
Tym rozdrożnym jęcz zaroślom, do spróchniałych wierzb
[się tul,
Zwierzaj żale swe ruczajom, na pradawnych kopcach stań.

Tam słuchaczy znajdziesz chętnych, tam serdeczną znajdziesz
[brać,
Która ciebie nie odepchnie: Jej, wzgardzona pieśni, graj,
Na przestworza bezgraniczne szlij swój głos, na tysiąc staj...

Z niewidzialnych rajów przyjdą dusze piewców, dziś już
[snać
Zapomnianych, i z radością witać będą w dźwięku twym
Zmartwychwstanie swych nadziei, zapowitych w nowy rym.

XI.

Powiadają, że w nas nie ma tytanicznych owych tchnień,
Wstrząsających granitami; że po świecie ten nasz duch,
Nieświadomy celów swoich, błądzi dzisiaj nikły cień,
Bohaterów, co w martwotę wprowadzali życia ruch.

Któż to mówi? Dąb zielony? Nie! odarty z liścia pień!
Robaczywy tłum, co w wrzaskach kankanowych stracił słuch
Na melodję hymnów wiecznych. Tak opasły charcze leń,
W. którym — patrzcie! — nie mózg ludzki, lecz zwierzęcy
[myśli brzuch.

Z ogniem świętym, tak jak dawniej, idzie przez świat
[śpiewny lud;
Tak, jak dawniej, w harfach swoich więzi krwawy błysk
[i grom,
Tylko — Zewsów nie spotyka. Od promiennych raju wrót

Nie odgania nas dziś anioł: w wieczystego szczęścia dom
Drogę dzisiaj nam zagradza ścierw gnijących wstrętny wał —
Rzucać w niego piorun boży, dla potężnych stworzon skał?

XII.

Marny tłumie! zasłuchany w liczonego złota brzęk,
Nie podniesiesz się do wyżyn, gdzie z melodją swoich harf
Druidyczny stanął szereg, niby żrzałych kłosów pęk,
Ciężkich ziarnem, promieniących od złocistych słońca barw.

Ty wiesz o tem, żeś jak nędzarz, mimo trzosów, mimo szarf,
Zawiązanych brylantami — wstydu cię ogarnia lęk,
Że nie wzbijesz się nad błoto, żeś jest nakształt owych
[larw,
Co nie mają lotnych skrzydeł, więc poniżasz pieweczy
[dźwięk,

Rwący z sobą duchy w górę!... Czarodziejski słodki ton
O rozświetli jutrzni nowych, o rzeźwości nowych ros.
Dziś poniżasz, bo wiesz o tem, że w nich mroków twoich
[skon —

Ty wiesz o tem, marny tłumie, że zza tajnych ducha
[bram,
Jak z świątyni, i dziś jeszcze ten proroczy płynie głos,
Co Baalom koniec wróży, co roztrąca w pył ich kłam.

*Jan Kasprowicz.*

## ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

(z powodu 25-letniego jubileuszu).

(Dokończenie).

Krótko jednak trwała wrzawa walki o zasady, a krócej jeszcze tryumf ich, który zresztą nigdy nie był zupełnym. W chwili, kiedy pozytywiści sądzili, że ostateczne zwycięztwo jest już bliskiem, zaczęła się reakcja. W szere.

## LETKIEWICZ.

SYLWETKA

PRZEZ

KLEMENSA JUNOSZĘ.

(Ciąg dalszy.)

— Ależ to istny magazyn! — zawołała panna Eugenja.

— Raczej śmietnik, rzekła — pani Adamowa z oburzeniem. — O! nie zapomnę nigdy tej chwili... Było późno, godzina jedenasta w nocy. Położyłam te rupiecie na stole i zawołałam mego męża.

— Zobacz Adasiu, mówię... Za głowę się złapał!... Wtenczas oboje przyśliśmy do przekonania, że z tego chłopca nic nie będzie, że wyrośnie na Letkiewicza i tak się też stało.

— Proszę pani, — wtrącił pan — Dulski, każdy chłopak nosi pełne kieszenie drobiazgów.

— Przepraszam... Nieboszczyk mój mąż mówił mi, że będąc w wieku Stasia, miewał przy sobie tylko chusteczkę do nosa — i nic więcej — bo też mój Adaś inaczej był wychowany. Nie rozpuszczono go, jak tego urwisa. Ale to wszystko jeszcze nic. Mąż mój kazał mu przerobić ubranie ze swego. Materjał prześliczny, mąż mój używał go przez ośmnaście lat, myślałam, że chłopak dotrzyma no, choćby przez dziewięć, niech pięć, niechby wreszcie trzy lata! Zgadnijcież państwo, jak długo nosił?

— Z pół roku zapewne.

— Ale zkąd?! W dwa miesiące z porządnego, eleganckiego nawet ubrania zrobiły się łachy, gałgany, strzępki, szarpie! A co ja mu nagadałam, dając mu ten śliczny strój... Chodź ostrożnie, siadaj uważnie, strzeż się plam, jak ognia, pamiętaj, żeś sierota, że trzeba dar wuja szanować, że kamizelka ani surdut z nieba ci na głowę nie spadnie... Przemawiałam nie jak ciotka, ale jak rodzona matka. Tymczasem kochany Stasieczek jednem uchem słuchał, drugim wypuszczał, i tego samego dnia jeszcze był na wierzchołku lipy, upadł w dół po glinie, jeździł na jakimś białym koniu, z którego wszystką sierć zabrał na ubranie, tarzał się z psami w piasku, a później z drugim podobnym sobie łobuzem ba-

gach, formujących się do stanowczego szturmu, okazały się luki — zwykłe następstwo walki i dezercji. A tymczasem zabrakło nowych żołnierzy, przestali nagle zgłaszać się ochotnicy. Przez niedługi czas walki dorosło nowe pokolenie, którego klęska nie ochłodziła, bo jej nie rozumiało, bo było wówczas za młodem, któremu powstanie przedstawiało się w czarownej aureoli wspomnień dziecinnych. Miało ono także, jak jego poprzednicy, odziedziczony zasób niezużytej energji, ale miało więcej jeszcze, niż oni, bo wiarą i zapał, nie ochłodzone przedwczesnem doświadczeniem. Stosunki polityczne i społeczne już się wówczas nieco wyjaśniły, nowe teorje naukowe, nowe prądy społeczne, które łatwiej teraz dostawały się do kraju wyłomem, przez pozytywistów wybitym, pozwalały określić ściślej i dokładniej nietylko zadania pracy narodowej, ale i odpowiednie drogi działania. Już około 1876 r. zaczyna się wśrod młodzieży ruch w celu zbliżenia się do ludu i krzewienia oświaty — zapowiedź późniejszych prądów demokratycznych. Prawie jednocześnie doktryna socjalistyczna zyskuje sporą gromadę zapalonych i pełnych poświęcenia wyznawców. Ten prąd społeczny rozlewa się coraz szerzej, nurtuje coraz głębiej, chociaż nieraz zbacza z kierunku, w którym płynąć powinien i albo po wielu zakrętach wraca do naturalnego łożyska, albo ginie w trzęsawiskach. Naturalne w narodzie, mającym taką jak nasz tradycję, pragnienie działalności politycznej, wzmaga się i szuka dróg nowych, trafiając nieraz w tem poszukiwaniu na ślady starych, zapomnianych przez czas jakiś ścieżek.

Nowe, coraz to młodsze pokolenia jawnie już wyrzekają się spłowiałego w krótkim czasie sztandaru, występują otwarcie przeciw pozytywistom i »organicznikom«. Hasła patrjotyczne i demokratyczne, w szerokiem znaczeniu tego wyrazu, brzmią coraz głośniej w szeregach nowych, wstępujących w życie, zastępów. Zwolennicy pracy organicznej przechodzą tłumnie do obozu zachowawców i stronników polityki ugodowej. Dwa prądy, które niemal te same przyczyny wytworzyły, ale które następnie zupełnie odmienny przybrały charakter — zlewają się znowu w jeden — niema dziś obozu pozytywistów i organiczników i obozu stańczyków. Są już tylko stańczycy — krakowscy, poznańscy i warszawscy.

Świętochowski nie mógł pozostać na stanowisku, którego długo i wytrwale bronił, nazywając ruch socjalno-demokratyczny »garścią pyłu«, przez wiatr unoszoną, przeciwstawiając programowi patrjotycznemu dziś zapomniane »wskazania polityczne«. Pomińmy ten okres jego działalności, o którym zapewne sam pragnąłby zapomnieć i zaznaczmy, że w wielu sprawach zasadniczych zmienił swoje poglądy i że chociaż wielu dawnych przekonań swoich broni, to broni tych tylko, które z nowymi prądami pogodzić można.

Trudno mówić więcej w tej sprawie, trudno ujmować w wyrażenia ścisłe to, co jeszcze jest lub musi zostać do czasu niewyjaśnionem. Muszę jednak odeprzeć tu puszczoną w obieg przez znanego odstępcę od zasad postępowych plotkę, że Świętochowski przechyla się coraz bardziej ku konserwatyzmowi. Przeciwnie, stał się on raczej wyznawcą skrajnych przekonań społecznych, ale w tej formie, która jego nieco doktrynerskiemu i skłonnemu do dogmatyzmu umysłowi najlepiej odpowiada.

---

wił się w Izraelitów, przechodzących przez Morze Czerwone...

— A to znów co nowego? — zapytał pan Dulski, — ja takiej zabawki nie praktykowałem za młodych lat, aczkolwiek przyznaję, że do wszelkich psich figlów byłem pierwszy majster.

— Była kałuża, pokryta rdzawą pleśnią i oni przez nią przechodzili.

— Pyszny chłopak! Uściskałbym go za to.

— I myśmy go oboje z moim nieboszczykiem mężem uściskali, — rzekła z ciężkiem westchnieniem pani Adamowa, — przykra to rzecz, na sierotę rękę podnieść, ale dla jego dobra. Za moich czasów w każdym elementarzu było wydrukowane: »Różdżką Duch Święty dziateczki bić radzi«.

Starsze panie kiwały głowami, podzielając oburzenie ciotki, jedna tylko panna Eugenja śmiała się i wyraziła zdanie, że lubi takich łobuzów, gdyż są bardzo zabawni.

— Ach, duszko, boś jeszcze młoda i niedoświadczona... My mieliśmy Krzyż Pański z tym dzieciakiem. Mąż naówczas oddał go do mojej siostry Ireny, której mąż Wincenty był nader energiczny i surowy. Chłopak chodził do szkół; po roku, znowuż wrócił do nas i znów był blizko rok. Nareszcie, z piętnaście lat miał wówczas, przychodzi jednego dnia i powiada: — »Kochana cioteczko, dziękuję za wszystko dobre i wyprowadzam się jutro«... Dokąd? Oszalałeś chyba? — »A, mówi, wyprowadzam się na przedmieście do szewca«.

— Do szewca?

— Tak panie, tak... »Wiem, mówi, że wujostwu ciężko, bo chleb teraz drogi, a mięso ciągle drożeje, zaś szewc daje mi pyszny pokój na poddaszu, śniadanie, obiad, kolację, wszelkie wygody«... — Ale za co, wołam, za co? »Szewskie dzieci mam uczyć«. — Ty, próżniaku! »Ja cioteczko, powiada. Szewc śliczny, mówi, czerwony jak pomidor, szewcowa jeszcze czerwieńsza, a szewczyków jest dwóch. Ja już tam dziś obiad jadłem. — Cóż ci dali? pytam, bo mnie to zaciekawiło. — »Pyszne jedzenie, powiada, kapuśniak na boczku i groch — najadłem się, że ledwo chodzę, a na kolację będą kluski z mlekiem«.

— I puściliście go państwo?— zapytał Dulski.

O działalności literackiej względnie młodego jubilata (urodził się w r. 1849) nie będę mówił, bo nie uważam się za dosyć kompetentnego w tym względzie. Napisał on cały szereg dramatów, w których niezawsze szczęśliwie porusza zagadnienia filozoficzne, moralne i społeczne, ale zawsze olśniewa czytelnika stylem świetnym, giętkim, ostrym i chłodnym, wyrafinowaną dialektyką i śmiałemi sofizmatami. Jest on także autorem trzech nowel, wydanych pod wspólnym tytułem »O życie« i powiastki »Klemens Boruta«, z czasów ostatniego głodu na Szląsku, oraz kilku dzieł i rozpraw filozoficznych: »Dumania pesymisty«, »O powstawaniu praw moralnych« itd. Działalność pisarska jubilata nie jest bynajmniej skończoną, chociaż jednolity, od pierwszego występu w literaturze dziś niewiele różniący się talent, pozwala przypuszczać, że nie zadziwi nas żadną niespodzianką. Ale nie jedno jeszcze dzieło tego znakomitego pisarza zbogaci z pewnością piśmiennictwo polskie.

Natomiast publicystyczna działalność Świętochowskiego może nabrać nowego blasku, a raczej odświeżyć przyćmiony. W życiu umysłowem społeczeństwa naszego w zaborze rosyjskim widoczne są objawy smutnej reakcji. Naturalna reakcja polityczna i społeczna, o której mówiliśmy wyżej, reakcja sił wypoczętych, rwących się do czynu, energji, zbyt długo krępowanej, uczuć — tłumionych i poniewieranych, wiary w ideały — spotwarzanej i wyszydzanej — odbić się musiała i w życiu umysłowem i wywołała poniekąd zwrot do idealizmu, głośno dziś proklamowany. Jest to jednak przedewszystkiem idealizm życiowy, który nie ma nic wspólnego z lekceważeniem wiedzy, odrzucaniem dokonanych przez nią zdobyczy, z wstecznictwem umysłowem i społecznem. Tymczasem w literaturze, zwłaszcza w prasie, widzimy taki odwrót, takie cofanie się ze stanowiska, do którego doszliśmy po długiej walce. Opłakane warunki polityczne, krępujące wszelką działalność społeczną, wszelką pracę umysłową, wszelką twórczość oryginalną w znacznej mierze zwrot ten tłómaczą, ale nie usprawiedliwiają go wcale.

Taka reakcja, gdyby zatryumfowała, byłaby wielką klęską dla naszej kultury, dla rozwoju naszej samodzielności społecznej i narodowej. Do walki z nią połączyć się winni wszyscy, którzy wierzą w postęp umysłowy i społeczny narodu naszego, dla których wolność myśli i słowa, poszanowanie nauki i zdobyczy cywilizacji są niezbędnym warunkiem życia i jego rozwoju. A w takiej walce niewątpliwie przewodnictwo należy się temu, który już przed dwudziestu pięciu laty dzielnie i zwycięzko zasad tych bronił, teraz zaś wzbogacony doświadczeniem, w rozkwicie talentu i sił umysłowych, ogarniający wzrokiem szersze horyzonty i dalsze przestrzenie, jeszcze energiczniej i mężniej bronić ich będzie.

## Promienie Röntgenowskie.

Co to jest światło? Dotychczas zwykliśmy się posługiwać starą definicją: światło jest to ruch falisty, odbywający się w materji delikatniejszej od powietrza (w tzw.

— Po naradzie — puściliśmy. Mąż powiedział, że wszystko jedno: i tak i tak nic z chłopaka nie będzie, niech przynajmniej pracuje, a ja będę miał na niego oko. Co państwo powiecie, był u tego szewca przez dwa lata, a potem już do skończenia szkół miał kondycję u zamożnego ślusarza.

— Więc skończył jednak szkoły? — spytała panna Eugenja.

— Moja duszko, — odrzekła pani Adamowa z westchnieniem — taki łobuz po drzewach łaził, jak robak, dlaczegoby przez szkoły nie miał przeleźć? Przyznać muszę, że od czasu, gdy się do szewca wyprowadził, oprócz niepokoju, nie kosztował nas wiele. Tyle że czasem w święto przyszedł na obiad lub na herbatę i to tylko, gdy był zaproszony. Po skończeniu szkół, zniknął nam z oczu, tyleśmy tylko wiedzieli, że jest na praktyce gospodarskiej...

— A wiem, wiem, — rzekł pan Dulski, — w Okrętkach... Pamiętam, chwalili go tam i właśnie ztamtąd dostał się do Wodnicy na rządcę.

— I tam zrobił największe głupstwo, jakie można zrobić — ożenił się...

— Czy to głupstwo? spytała panna Eugenja.

— Jeżeli biedak bierze panienkę, nie mającą nic, prócz ładnej buzi...

— Pani Stasiowa dziś jeszcze piękna kobieta jest, — rzekł pan Dulski — w okolicy ładniejszej niemasz. To trzeba przyznać, a dziateczkom też nic nie brak; chłopak jak korzeń, dziewczynki istne kwiateczki.

— No, znam przecież — ładne, bo ładne, ale co je czeka? Ojciec Letkiewicz — cóż im zostawi? A mówiliśmy, perswadowali... i ja i mój mąż... Co to pomogło? Perory wysłuchał, a swoją drogą na wesele zapraszał. Z takim ani w prawo, ani w lewo.

— Ale droga pani, — rzekła jedna ze starszych dam, — w jakiż sposób pan Stanisław przyszedł do posiadania Pisanki... Wszakże to jego własność?

— Oczywiście, — rzekł pan Dulski, — najlepszy dowód, że własność, skoro go za dwa tygodnie licytują.

(C. d. n.).

eterze świetlnym), dochodzący do siatkówki oka i zdolny do wywoływania wrażeń świetlnych. Długość fali świetlnych wynosi 0·4—0·7 mikry (tysiącznej części milimetra); rozmaita długość fal wywołuje wrażenie rozmaitych kolorów.

Ta definicja, do niedawna jeszcze uważana za »ostatnie słowo nauki«, wkrótce stała się przestarzałą i dziś zupełnie już nie może nas zadowolnić. Zapomocą płyt fotograficznych odkryto wkrótce promienie świetlne niedostępne dla naszego oka, o mniejszej długości fali, leżące po za fioletem widma słonecznego (tzw. ultrafioletowe fale), a także o większej długości fali, leżące po za kolorem czerwonym (fale ultraczerwone). Promienie ultrafioletowe działają na płytę fotograficzną zapomocą swej zdolności do działań chemicznych, promienie zaś ultraczerwone zapomocą swych własności cieplikowych. Wobec tych promieni uległy także pewnemu przeobrażeniu nasze pojęcia o ciałach przeźroczystych i nieprzeźroczystych. Gdy bowiem promienie ultrafioletowe nie przechodzą przez szkło, wodę itp., a najdalsze promienie tego rodzaju nie przechodzą nawet przez powietrze, to promienie ultraczerwone przechodzą przez całkiem nieprzeźroczysty rozczyn jodu w siarczanie węglowym, przenikają również nieprzeźroczysty kauczuk, ale za to nie przechodzą przez niektóre ciała, przepuszczające inne promienie świetlne.

Dalszem rozszerzeniem pojęcia światła było odkrycie tzw. promieni Hertza, które są wytworzone przez iskrę elektryczną. Promienie te powstają z fal znacznie dłuższych od fal ultraczerwonych, posiadają długość od kilku centymetrów do kilku metrów, lecz zresztą jakościowo nie różnią się niczem od zwyczajnych promieni świetlnych, łamią się, odbijają, naginają, polaryzują itd. Właściwością ich jest jednak to, że przenikają przez rozmaite ciała zupełnie nieprzeźroczyste, jak papier, drzewo, mury itp. Tylko metale nie przepuszczają tych promieni wcale.

O wszystkich tych promieniach wiadomo, że mają jednakową szybkość, że są objawem jednakowych, tzw. transwersalnych fal eteru, a różnią się tylko długością owych fal.

Lecz oto przyszły nowe odkrycia na polu elektrotechniki. Znane są powszechnie rurki Geislera. Są to rurki, z których wypompowano powietrze, a w których szkło na jednym i na drugim końcu wlutowano druciki platynowe. Łącząc te druciki z biegunami maszyny elektrycznej otrzymujemy piękne zjawiska świetlne wewnątrz rurki, gdzie strumień elektryczny w rozcieńczonym gazie przepływa od jednego drucika do drugiego. Uczeni Hittorf w Niemczech i Crookes (czytaj Kruks) w Anglji skomplikowali to doświadczenie w ten sposób, że na druciku, przez który wchodzi do rurki negatywna elektryczność, tzw. katodzie umocowywali blaszkę metalową równą lub nieco skrzywioną, W takim razie iskra nie może przeskakiwać z drucika na drucik, wnętrze rurki pozostaje prawie całkiem ciemne, tylko na szkle rurki naprzeciw katody widać świecącą plamkę żółtego, zielonego lub niebieskawego koloru stosownie do składu chemicznego szkła. Wygląda to tak, jak gdyby z katody w prostej linji wychodziły promienie, niewidoczne dla oka, ale w miejscu, gdzie uderzają o ścianę rurki, nadające tejże blask zwany fluoryzowaniem. Jeżeli w rurce między katodą a ścianą rurki umieścimy jakikolwiek przedmiot, tenże absorbuje owe promienie i rzuca wyraźny cień na ścianę rurki. Rurki takie nazywają się rurkami Hittorfa lub Kruksa. Ten ostatni przypuszczał, że fluoryzowanie na szkle rurki powstaje stąd, że elektryczność odrywa cząstki owej blaszki i w prostej linji ciska je o szkło. Natomiast uczeni niemieccy bronili teorji falowej, mianowicie, że od katody idą fale eteru w prostej linji, tj. że promienie Hittorfa są czemś podobnem do zwykłych promieni świetlnych.

Wszystko to były rzeczy znane, a prof. Röntgen zrobił tylko pewne spostrzeżenie co do promieni Hittorfowskich. Światło w rurce Hittorfa jest nadzwyczaj słabe. By je dobrze obserwować, zaciemnił Röntgen jak najszczelniej pokój, w którym robił spostrzeżenia, a nadto umieścił rurkę Hittorfa w pudełku z czarnego kartonu, dostatecznie grubego, by nie przepuścić ani śladu światła słonecznego, ani elektrycznego. W pobliżu znajdował się parawanik pokryty mięszaniną barium, platyny i sinku, jakiego się zazwyczaj używa przy próbach fluorescencyjnych. Ta mięszanina ma tę właściwość, że skoro na nią padną zwykłe promienie świetlne, zwłaszcza fioletowe, a także promienie z katody, zaczyna świecić się żywym białym blaskiem fluorescencyjnym.

Otóż prof. Röntgen spostrzegł, że ilekroć prąd elektryczny przebiegał przez rurkę Hittorfa, parawan zaczynał świecić bardzo jasno, mimo że rurka ta zamkniętą była w pudełku absolutnie nieprzeźroczystem i dla oka niewidzialnem. Musiały przeto z rurki wychodzić promienie, które z łatwością przenikały przez czarny karton, nie przepuszczający innego światła. Promienie te na siatkówkę oka nie robią żadnego wrażenia, a więc nie są świetlne, mimo to jednak wywołują na parawanie bardzo żywą fluorescencję. Röntgen przekonał się, że promienie te, które możemy nazwać promieniami Röntgenowskimi, nie wychodzą z całej rurki Hittorfa, lecz jedynie z tego miejsca, gdzie na wewnętrzną ścianę rurki padają promienie z katody.

Jeżeli między to miejsce rurki, a parawan postawimy jakieś ciało, np. książkę o 1000 stronicach, grubą deskę, blachę metalową, to okazuje się wyraźny, ale nie całkiem ciemny cień tego ciała na parawanie. Promienie Röntgenowskie przenikają przeto wszystkie ciała, nawet takie, które są całkiem nieprzenikliwe dla światła i dla promieni katodowych. Co prawda, promienie Röntgenowskie osłabiają się w tych ciałach i to

o tyle więcej, im grubszem jest to ciało i im zbitszą jest jego masa. Blacha ołowiana o 2 centym. grubości nie przepuszcza ich już wcale.

Nietylko mięszanina barium, platyny i sinku, ale i wszelkie inne ciała fluoryzujące, jak szkło, zwłaszcza zielone, kwarc, mika fluoryzują bardzo żywo pod wpływem promieni Röntgenowskich. Ale jedną z najosobliwszych właściwości tych promieni, jest to, że na suche płytki żelatynowe działają tak samo, jak zwykłe promienie świetlne. Röntgen mógł przeto wszystkie owe cienie padające na parawan, fotografować, poddając ich działaniu przez dłuższy czas zwykłe suche płytki fotograficzne, a następnie w zwykły sposób wywołując i reprodukując obrazy. Rzecz zajmująca, że pudło drewniane, w którem płytki fotograficzne zazwyczaj są chronione przed działaniem promieni świetlnych, tutaj nie chroni ich wcale i można fotografować nie otwierając pudła. Tak samo zamknięcie nie chroni płytek od dalszego działania owych promieni, lecz trzeba je po prostu od nich oddalić.

Ponieważ promienie Röntgenowskie przenikają w mniejszym lub większym stopniu przez wszystkie ciała, dla tego też fotografje, zdejmowane przy ich pomocy, różnią się bardzo od zwykłych. Fotografja płytki metalowej okazuje wyraźnie wszystkie skazy, bąble lub guzy w jej wnętrzu, powstałe przy laniu lub walcowaniu. Ogółem otrzymujemy fotograficzne zdjęcie nie powierzchni, ale wnętrza przedmiotu, a właściwie jego gęstszych i mniej gęstych części. I tak zamknięte pudełko z ciężarkami metalowymi odfotografowane okazuje wyraźnie każdy ciężarek, znajdujący się we wnętrzu. Tak samo odfotografował Röntgen zwój drutu, znajdujący się w puszce drewnianej. Nadzwyczaj ładnie wygląda fotogram kompasu, zamkniętego w kopercie z cienkiej blachy metalowej: nie tylko igiełka, ale cytry na blaciku odfotografowały się bardzo wyraźnie, gdyż farba, którą były wymalowane, bardzo słabo przepuszcza promienie. Szczęście, że atrament zwykły i drukarski bardzo łatwo przepuszcza promienie Röntgena, gdyż inaczej nie byłoby nic łatwiejszego jak odfotografować zawartość każdego listu.

Główna jednak korzyść z nowego odkrycia wyniknie dla medycyny. Röntgen zdjął fotografję swej ręki. Ponieważ miękisz przepuszcza promienie, a kość daleko mniej, dla tego na fotografji kość zarysowuje się całkiem wyraźnie, a kontury ręki ledwie są zarysowane. Mamy więc fotografję skieletu, zdjętą z żywego człowieka. Pierścienie i cząstki metalu zarysowują się jeszcze wyraźniej. Jak wielkie korzyści mogą wyniknąć z tej metody fotografowania wnętrza ciała ludzkiego, trudno przewidzieć.

(Według referatu prof. Ludwika Boltzmana)

# PO WYROKU.

FANTAZJA NA TLE PRAWDZIWEM.

(Ciąg dalszy).

Drżąc na całem ciele, czy to od zimna chłodnego wieczoru, czyli zaś prędzej od zimna, przenikającego i odrętwiającego duszę moją — dobiegłam wreszcie do kaplicy. Przybyłam na miejsce umówione o parę minut wcześniej, niż Piotr, i przytulona do muru, drżałam dalej w ciemnościach, w owym dziwnym chłodzie zewnętrznym i wewnętrznym. Odetchnęłam, gdy Piotr ukazał się wreszcie we drzwiach i znalazł się niebawem przy mnie. Cicho wprawdzie, lecz dobitnie i wyraźnie, choć głos i usta mi drżały, dawałam mu instrukcje: oddać bilecik natychmiast po przyjściu, gdyby go zastał czuwającym, gdyby zaś usnął — broń Boże, snu nie przerywać. Wejść po niejakim czasie, przy pierwszej sposobności i gdyby chciał dać odpowiedź dla ojca Stefana, wziąść ją i doręczyć mi jak najprędzej.

— Ojciec Stefan, człek święty, to prawda — rzekł pokiwawszszy głową podoficer — świstek to taki mały, że oddać go będzie można, i ja to zrobię, kiedy już pani tak prosi... Choć gdyby tamten skazany mnie zdradził, to nietylko podoficerstwo moje zginie, ale coś znacznie gorszego spotkać mię musi.. Ale to wszystko na nic się nie zdało. Dziwaczy staruszek świętobliwie. Ani on, ani pani nic się na tem nie znacie. Teraz zabójcy temu tkwi w głowie jedna tylko szubienica! i o niczem innem myśleć on teraz nie może. Dobrze to się modlić do pana Boga w pięknym kościele lub w swoim domu spokojnym, przy ciepłym piecu — na wolności, bez troski. Ale kiedy oczekuje niebawem znajomość z katem i powrozem...

— Przestań-że! na miłość Boga przestań! — zawołałam ze spazmem bólu w zaciśniętem gardle i sercu. — Ja o tem słyszeć nie mogę! Idźcież i nie zapominajcie, zaklinam was na wszystko, zrobić, coście nam przyrzekli. Bo.. gdybyście o tem zapomnieli — samibyście potem spokoju nie znaleźli — i ojciec Stefan wam by tego nie darował...

— Oszalał stary! — burknął już teraz Piotr splunąwszy gniewnie. Szczęście, że trafił na takiego. Inny by może doniósł na klechę! — A pani, niech wraca do domu, kładzie się i wypoczywa. Bo tak pani wygląda, jak gdyby miała gorączkę. Posyła stary na zimno, pędza tak delikatną osobę ze swemi tam jakiemiś pociechami! Coście za nadto miłosierny, u licha!... Tfu! doprawdy!

Schwyciłam go za ręce, jeszcze raz go zaklęłam, aby spełnił zlecenie — i uciekłam.

— Oddam już niezawodnie, — ale co prawda, to prawda — mruczał wślad za mną

podoficer — święty, a w głowie mu się pomięszało. »Spokoju nie zaznam« — proszę! A przecież nie każdy by to zrobił! Bzik oczywisty i basta!

Objaw dziwny, niepojęty. Gdym uciekała od mruczącego żołnierza, ogarnął mię śmiech tak szalony i niepowstrzymany, iż rady mu dać nie mogłam. Hamowałam go ile mocy, dusiłam się od niego, — ale pomimo to wciąż śmiać się musiałam i drżeć na całem ciele; znowu się śmiałam i znów dygotałam. W tym nawet stanie bolesnego podniecenia, nie doznawanego nigdy w podobnym stopniu, wydawało mi się konieczne owo mruczenie Piotra na niewinnego ojca Stefana, który o tyle tylko brał udział w znakomitym procesie, że ofiarował się zawczasu odmówić stosowną modlitwę za grzeszną duszę przestępcy.

Dalej nie mogę już tak dokładnie zdać sobie sprawy ze swoich wrażeń ówczesnych, bo związek ich i charakter poczęło gmatwać ogromnie niezdrowie fizyczne. Były to w chaotycznej mięszaninie strach, dotkliwy ból moralny, oraz pełne wzruszenia i trwogi oczekiwanie na skutek listu. Potęgujący się stan gorączkowy wywoływał też jakąś oporność naprężonej, podbudzonej woli, — by nie uledz ogarniającej mię słabości, nie paść na łóżko — nie zapomnieć, nie zamknąć oczu na wszystko, — gwoli ciału. Chodziłam, nasłuchiwałam, c z e k a ł a m strasznej tej cudzej przyszłości, która dziwnemi pętami okuła ducha mojego. Była to ostatecznie gorączka duszy i ciała, — początek tego tyfusu i tej psychozy zarazem, co potem kilka miesięcy dręczyły mię jednocześnie. — Tak mogę to teraz wytłumaczyć sobie. Wówczas zaś nie przychodziła mi do głowy analiza psychiczna samej siebie. Wiedziałam to tylko, że męczę się i cierpię.

Nareszcie doszłam do tego, że kiedy jeszcze przed południem stanął przedemną żołnierz z białą kopertą, — nie mogłam pojąć na razie realności posłańca tego i listu. Porwałam kopertę słabnącemi palcami, zamknęłam drzwi machinalnie — i rozpieczętowałam...

Mój chiński pasek papierowy wracał... zapisany... zmięty, nadwerężony w swej delikatnej tkaninie zagłębieniami, zmarszczkami, bo był niedawno jeszcze wilgotny... od łez.

Czytałam go także zalana łzami gorącemi: »Siostro nieznana, — dobra i szlachetna! Dzięki za serce, za dłoń pomocną Twoją, którą wyciągasz do mnie w ostatnich chwilach życia. Przeczułaś, iż głos Twój będzie wszystkiem, wszystkiem dla nieszczęsnego skazańca, który pożądał żałującego słowa ludzkiego, — pożądał go, jak powietrza, którem by mógł odetchnąć po raz ostatni, dusząc się już i teraz na szubienicy oczekiwania. Żal, łzy i boleść Twoje uważam za skarb mój ostatni, najdroższy i błogosławiony! Tuląc do piersi ten skrawek papieru, mam błogie złudzenie, że ręka słodka, kojąca — jak niby matki najdroższej, którą straciłem oddawna, — leży na sercu mojem, co bić niebawem przestanie na czole mojem, które niebawem siność śmierci oblecze. Piszę tak szczerze, bo znajduję w tem ulgę niewypowiedzianą: kładę mą głowę chorą na Twych kolanach, jak bym dzieckiem był jeszcze, jak niegdyś u kolan matki mojej. Dłonie Twe cisnę do piersi, wsłuchuję się w głos Twój i myślę o słowach Twoich.

To prawda! dla czegoż mam się uważać za wyjątek, kiedy dotyka i mnie męka, trzymająca świat cały w okowach w tej albo innej formie. Nie myśl, że męki i zgon innych, mogą mi być pociechą. Całe me krótkie życie i sama przyszła śmierć moja świadczą przecież wyraźnie, że nie o własnem szczęściu myślałem tu na ziemi, — ale mówię sobie w tem osamotnieniu, że czeka mnie to samo tylko, co wszystkich bliźnich moich: tu powróz — tam suchoty, dyfteryt lub agonizująca niemoc starości. Nie jestem opuszczony, wzgardzony, — bo nieprzejrzany legjon dusz wolnych wraz z moją ku górze się wzbija, cisnąc się do niej siostrzanie, miękkim obłokiem ją pieszcząc!... Depcem katusze przedśmiertne — i unosimy się lekko nad wszystko, co było tu męką, co było tu bólem... Precz z ziemią! Już do niej nie należę, już o niej myśleć nie mogę.

Papier się kończy. Boże, ileżbym pisał do Ciebie, najszlachetniejsza, bliska, serdeczna moja! Pisałbym tyle bez przerwy — ile mi żyć jeszcze zostaje! Dzięki Ci, dzięki — i żegnaj! Całuję ziemię, po której stąpasz i stopy twoje. Obecną bądź przy śmierci, jeżeli możesz... Prawda — za wiele wymagam! lecz odmówić sobie tego nie mogę — tak słaby jestem. Wspomożesz mię — dodasz mi siły. Wybacz, — przybądź i poświęć się, siostro najlepsza, nieznana! Szarfy Twej białej będę szukał oczami. Nie zawiedź-że — przybądź!«

Duszę moją przepełniło teraz rozrzewnienie i bolesna tkliwość. Pierwszy raz w życiu rozpływałam się cała w łkaniu i w przeciągłych jękach. Już nie miotałam się niespokojnie, nie dręczyłam się jakąś nieokreśloną poprzednią rozpaczą. Tylko tak litościwie, miłośnie płakałam nad nim.

I wówczas serce moje poczęło nagle wzbierać pragnieniem nieokreślonej jakiejś modlitwy, i oddałam się jej całkowicie... Modliłam się duchem nanowo wskrzeszonym, pełnym tej utraconej prostoty dziecięcej — bez słów, bez klęczek, myślą zwrócona do Boga, którego tak wyraźnie odczuwałam i kochałam w owej chwili, nigdy nie zapomnianej. Była to zapewne jedna z tych ekstaz, które przypinały skrzydła do ramion średniowiecznym ascetkom, a jednak spłynęła ona i na mnie — istotę wątpiącą, chwiejną, o nieokreślonych i błędnych pojęciach religijnych końca XIX. wieku. I czułam, że przestępuję granicę widomego, że cały raj ulgi niebiańskiej spływa na mnie z góry.

(Dok. nast.). *Janina Baudouin de Courtenay.*

# Przyczynek do genezy „Ucieczki“.

(Urywek z pracy niewydanej p. n. »Balady Mickiewicza«).

Główny motyw »Ucieczki« stanowi (jak wszystkim wiadomo) baśń ludową o ucieczce dziewczyny z kochankiem — umarłym »Podanie to istnieje dziś jeszcze w ludowej literaturze wszystkich europejskich narodów, jest nadzwyczaj rozpowszechnione między narodami słowiańskimi, szczególniej między ludem: polskim, białoruskim, rusko-ukraińskim, rosyjskim i kroackim.

Wszyscy nasi krytycy zgadzają się na to, że Mickiewicz słyszał tę baśń w formie rodzimej polskiej lub białoruskiej. Motywując swoje twierdzenie tą okolicznością, że poeta nie rozumiał wcale litewskiej ani łotewskiej gwary ludowej, przytaczali nadto świadectwo samego Mickiewicza, zawarte w przypiskach do »Ucieczki«: »Niniejszą balladę ułożyłem podług piosnki, którą niegdyś słyszałem na Litwie śpiewaną po polsku«. Same jednak słowa poety osłabiają znacznie powszechne twierdzenie krytyki: bo i na cóżby pisał Mickiewicz: piosnkę »słyszałem na Litwie śpiewaną po polsku, gdyby ona była rodzimą polską opowieścią«? A jednak musimy ten błąd wybaczyć szan. krytykom, — gdyż nie mogli znać baśni, która przetrwała długie lata nieznana nikomu, przechodząc z pokolenia na pokolenie w kurnych chatach łotewskiego ludu, w zeszłym bowiem dopiero roku ogłosiła tę opowieść p. Stefanja Ulanowska p. t. »O narzeczonym — nieboszczyku.*)

Legendę tę znał zapewne Mickiewicz, i z tego to powodu umieścił uwagę, że słyszał ją »na Litwie«, lecz przetłómaczoną na język polski, ona bowiem jest ze wszystkich analogicznych baśni polskich, białoruskich, litewskich i łotewskich najbardziej zbliżona do »Ucieczki«. Kto przełożył tę baśń na język polski i od kogo ją słyszał poeta — nie wiadomo; może od którego z przyjaciół, może też podczas swych częstych wycieczek na wieś od włościan lub może od samej Maryli? Nie możemy się dziwić, że poeta pisał jakoby słyszał pieśń, a nie prozaiczne opowiadanie, gdyż ona z biegiem czasu zaginęła, lecz i dziś jeszcze mamy we wszystkich prawie analogicznych legendach narodów słowiańskich kilka rymowanych strofek, które są według wszelkiego prawdopodobieństwa zabytkami i pozostałościami tego podania w formie pieśni.

*) Łotysze Inflant polskich, a w szczególności gminy Wielońskiej, powiatu Rzeżyckiego. Obraz etnograficzny przez... (Zbiór wiadomości do antropologji krajowej Kraków. 1895. Tom XVIII. str. 379—351. nr. 337.

I tak np. w baśni, zapisanej przez p. Ulanowską, widzimy jedną strofkę rymowaną:

| | |
|---|---|
| »Mieniejś spiż | »Miesiąc świeci, |
| Zwajdzieniś lejb, | Gwiazdki mrugają, |
| Dziejws ar numyruszu braué. — | Żywy z umarłym jedzie — |
| Woj bajś, jaunuprawa?« | Czy strach, panienko?« |

W każdym razie analogiczne miejsce »Ucieczki« jest bardzo zbliżone do wierszy, powtarzających się trzykrotnie w łotewskiem opowiadaniu:

»Miesiąc świeci,
Jeździec leci,
Po zaroślach i po lasach —
Panno, panno, czy nie strach?«

W treści tej baśni łotewskiej widzimy pierwotne zarysy »Ucieczki«. Dziewczyna płaczem przywołuje zmarłego kochanka, bez wahania udaje się z nim w daleką drogę, zapomocą przedmiotów poświęconych jak: szkaplerza, rożańca i książki do modlenia, które ze sobą wzięła, przedłuża szaloną jazdę, koniec jej tylko jest odmienny, gdyż dziewczyna ucieka do trupiarni, widząc, że kochanek chce ją wciągnąć do grobu i czeka tam w śmiertelnej trwodze aż do świtu, — wtedy bowiem musiał trup powrócić do swojej mogiły — wkońcu przyszedłszy do domu, umiera z przerażenia.

Z tego to podania mógł Mickiewicz zaczerpnąć materjały, z których później złożył swoją »Ucieczkę«, w niem bowiem mógł znaleźć wszystkie główne motywy do swojej balady.

A teraz zastanówmy się jeszcze nad tą, tak ważną dziś kwestją, kiedy powstała »Ucieczka«? Krytycy nasi podają zupełnie mylne i sprzeczne pomiędzy sobą wiadomości o genezie tej balady. I tak Dr. Tretiak zgadza się w tej mierze z Drem Chmielowskim, odnosząc powstanie »Ucieczki« do r. 1820, inni znowu podają jako »zupełnie pewną« datą r. 1822 lub 1823. Te ostatnie daty mogłyby być prawdopodobniejsze od poprzedniej. Niestety, nie mamy jeszcze zupełnie pewnych dowodów w dziś nam znanych materjałach biograficzno-krytycznych, która data z powyższych jest prawdziwą. Zważywszy jednak już samą tylko formę artystyczną »Ucieczki« i zdanie samego poety, — piosnkę »słyszałem niegdyś na Litwie«, musimy stanowczo twierdzić, że »Ucieczka« jest najpóźniej napisaną baladą, zapewne zaś dopiero na wygnaniu w Moskwie lub Petersburgu wykończoną, bo i na cóżby pisał poeta te słowa: »słyszałem niegdyś na Litwie«, widocznie musiał już wtedy tęsknić za swoją ukochaną ojczyzną... wreszcie dlaczegożby nie umieścił tej balady w wydaniu z r. 1822, a odkładał aż do wydania poznańskiego, które ukazało się dopiero w 10 lat później?

*Stanisław Z.*

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.